

TO JEST SPRAWA CZŁOWIECZEŃSTWA

**O STOSUNKACH POLSKO-NIEMIECKICH W PRL
Z PIOTREM SEMKOWEM, HISTORYKIEM,
ROZMAWIA BARBARA POLAK**

B.P. – Ilu Niemców mieszkało na terenie Polski w 1939 r., w momencie wybuchu wojny?

P.S. – Okupowane przez Trzecią Rzeszę ziemie polskie w 1939 r. zamieszkiwało 22 mln 241 tys. osób, z tego prawie połowa na ziemiach wcielonych do Rzeszy, w tym 8 mln deklarujących etniczną i kulturalną przynależność do Polski. Na tereny Generalnego Gubernatorstwa przypadało 12 mln 102 tys. osób – w tym 111 tys. Niemców. Jednocześnie około 700 tys. osób na terenach zajętych przez Trzecią Rzeszę było uznawanych za Niemców.

B.P. – I sami uznawali się za Niemców?

P.S. – Tak. Przed stworzeniem projektów niemieckiej listy narodowościowej władze niemieckie były zainteresowane zwiększeniem liczby Niemców na tym terenie. Jednym ze sposobów miało być przesiedlenie Niemców – tak zwanych Baltendeutschów – na tereny atrakcyjne pod względem gospodarczym (między innymi polska część Pomorza, Wolne Miasto Gdańsk, wcielone do Rzeszy 1 września 1939 r.). Przybywali tu Niemcy z Litwy, Łotwy i Estonii. Powstał też projekt przesiedlenia z terenów Związku Radzieckiego Niemców besarabskich. Zgodnie z obliczeniami dr. Karla Stumpfa ich liczba sięgała w 1938 r. 87 641 osób. To ciekawa sprawa – gdy rozpoczęła się akcja przesiedleńcza Besarabów, okazało się, że nie bardzo pasują oni do ideału niemieckości i aryjskości. Byli przyzwyczajeni do odrębnych warunków bytowania, do innej kultury. Owszem, posługiwali się językiem niemieckim, pielęgnowali swoje tradycje, obyczaje, ale w przeciwieństwie do Baltendeutschów, przypadło im żyć w zupełnie innym ustroju. Gauleiter okręgu Gdańsk – Prusy Zachodnie Albert Forster miał wątpliwości co do „wartości” osadników ze wschodu, sugerując przy tym wstępny staż germanizacyjny w środowisku prawdziwie niemieckim. Niemcy besarabscy skarżyli się nawet swym władzom, że są traktowani przez urzędników jako Niemcy gorszej kategorii. Łatwiej im było porozumieć się z ludnością podbitą, z Polakami, niż ze swymi pobratymcami.

B.P. – Według jakich kryteriów oceniano atrakcyjność proponowanych Niemcom terenów w okupowanej Polsce?

P.S. – Posłużę się przykładem Wolnego Miasta Gdańska i Gdyni, miasta bardzo nowoczesnego (pierwsza akcja wysiedleń z Gdyni zaczęła się już jesienią 1939 r.). Zakładano tak zwane kwestionariusze mieszkaniowe, w których oceniano, czy mieszkanie jest suche, jasne, jaka jest odległość od środków komunikacji, jakie ma ogrzewanie. Ocena mieszkania była jednym z kryteriów wysiedleń Polaków. Niemieckie władze bezpieczeństwa wcześniej bardzo dokładnie rozpracowały gdańską Polonię. Zakładano kwestionariusze osobowe, opisujące nie tylko przebieg kariery zawodowej, życiowej, ale i informujące o odznaczeniach, aktywności społecznej i publicznej. Opatrywano te informacje dopiskami w rodzaju: fanatyczny Polak, podżegacz. I tych właśnie ludzi usuwano z terenów, które miały być rdzennie niemieckie. We wrześniu 1940 r. pojawił się pierwszy projekt zwiększenia liczby ludności niemieckiej w podbitej Polsce w postaci wstępnej volkslisty podzielonej na cztery grupy. Ostatecznie wprowadzono ją w marcu następnego roku.

B.P. – Czy stworzenie listy narodowościowej okazało się skutecznym zabiegiem?

P.S. – 1 stycznia 1944 r. na ziemiach polskich wcielone do Rzeszy w Kraju Warty Polacy stanowili około 78 proc.; w okręgu Gdańsk – Prusy Zachodnie – 36 proc.; na Górnym Śląsku – 42 proc., w Prusach Wschodnich – 92 proc. Biorąc pod uwagę tych, którzy zostali uznani według niemieckiej listy narodowościowej za przydatnych dla Rzeszy oraz rodowitych Niemców, proporcje ustaliły się tak, że ponad 60 proc. mieszkańców na terenach wcielonych do Rzeszy uznano za Polaków. Można więc powiedzieć, że akcja rozszerzenia wpływów niemieckich częściowo spaliła na panewce. Uznawanych za „narodowości” (Kaszubi, Ślązacy, Górale, Mazurzy) w rozumieniu rozporządzenia przyjmowano przede wszystkim do grupy III. Ludzie ci otrzymywali tak zwany zielony Ausweis z pieczętką, że uznaje się ich za przynależnych do państwa niemieckiego. Za „przynależnych”, nie za obywateli. Dokument ten opatrzony był klauzulą „do odwołania”, więc władze niemieckie mogły ten przydział cofnąć, gdyby się okazało, że w okresie próbnym dziesięciu lat „przynależni” się nie sprawdzili.

B.P. – Czy byli ludzie, którym zależało na przyjęciu III grupy?

P.S. – Było wiele powodów, dla których przyjmowano volkslistę – przymus administracyjny, wybór własny, chęć zrobienia kariery. „Przynależni” zyskali mniej praw niż obywatele Rzeszy niemieckiej, mieli natomiast pewne obowiązki, między innymi służbę w wojsku. Należy pamiętać,





że osoby należące do grupy III i pełniące służbę wojskową dotykały rozmaite obostrzenia, wynikające z nieufności władz – na przykład do oddziałów przydzielano ich pojedynczo lub najwyżej po kilka. Jednak w porównaniu z ludnością, która otrzymała grupę IV, stali w hierarchii obywateli szczebel wyżej. Na ówczesnym Pomorzu w IV grupie znalazło się 77 proc. mieszkańców. Podczas naboru kierowano się różnymi kryteriami, jednym z nich mogło być nazwisko. To o tyle ciekawe, że zastosowanie kryterium nazwiska przy wyszukiwaniu Niemców wśród ludności byłego Wolnego Miasta Gdańska doprowadziłoby do niezwykłego chaosu.

Najskuteczniejszym sposobem, mającym poprawić strukturę zamieszkania Niemców nie tylko na terenach wcielonych do Rzeszy, ale również w Generalnym Gubernatorstwie miała być akcja przesiedleń niemieckich osadników. Według różnych obliczeń osiedlono ich około pół miliona.

B.P. – Jak zmieniła się sytuacja ludności niemieckiej w obliczu nadchodzącego frontu?

P.S. – W 1944 r. Armia Czerwona wkroczyła zarówno w przedwojenne granice państwa polskiego, jak i na tereny znajdujące się wcześniej w granicach Niemiec. Ludność niemiecka na tych obszarach stanęła przed dylematem – zostawać czy uciekać. Niemieckie władze administracyjne w zasadzie do końca, do momentu wkroczenia Rosjan, zwlekaly z podjęciem decyzji o ewakuacji. Nie wiadomo, na co liczyły – na cud? Według niemieckich szacunków przed zakończeniem działań wojennych w maju 1945 r. z terenów zajmowanych stopniowo przez Rosjan uciekło około 5 mln osób.

B.P. – To była ucieczka czy zorganizowana ewakuacja?

P.S. – Jak już powiedziałem – z organizowaniem ewakuacji zwlekano do końca. Tak więc, spodziewając się najgorszego, ludzie masowo i beztładnie uciekali przed nadciągającymi Rosjanami, za linię Odry i Nisy Łużyckiej.

B.P. – Część Niemców jednak pozostała. Nie obawiali się szyskan, zemsty?

P.S. – Ludzie zostawali z różnych powodów, dla wielu była to ziemia rodzinna, inni uważali, że gdzieś się rozpułną w migracyjnej masie. Zostawali, chociaż wiedzieli, że czeka ich niepewna przyszłość. Wielu obawiało się zemsty, rewanżu za lata wojny, chociaż zdarzało się na przykład podczas oblężenia Gdańska w marcu 1945 r., że w jednym schronie siedzieli ci, których do niedawna tępieno za polskość, i ci, którzy do tej pory byli panami, zwycięzcami. Udzielali sobie nawet

Otwarcie średniej szkoły dla dzieci
niemieckich w zarekwirowanym
budynku gimnazjum
im. Stefana Batorego,
Warszawa, listopad 1939





pomocy, bo strach przed bombardowaniami okazywał się silniejszy niż inne względy.

Sprawa rewanżu na Niemcach to złożony problem, ale można go sprowadzić do jednego mianownika. Kto był człowiekiem, ten również wobec pokonanego wroga zachowywał człowieczeństwo. Wielu jednak próbowało szukać zemsty: często ludzie, którzy w czasie wojny przeszli przez niemieckie więzienia, katownie, szli do więziennictwa tylko po to, żeby się zemścić na Niemcach. Potrzebę rewanżu widać nawet w tym, że Niemcy jako państwo i jako naród pisano małą literą.

B.P. – Ilu Niemców zdecydowało się mimo wszystko pozostać w Polsce?

P.S. – Po zakończeniu akcji przesiedleńczych kilka razy próbowano ustalić, ilu Niemców pozostało. Zawsze jednak pojawiał się problem, kogo w ogóle zaliczyć do tej narodowości. I tu dochodzimy do bolesnej sprawy, jaką była weryfikacja autochtonów, którzy z własnej woli lub pod przymusem przyjęli którąś z grup niemieckiej listy narodowościowej. Pierwszy spis powszechny z 14 lutego 1946 r. wykazywał, że terytorium Polski zamieszkiwało prawie 2 mln 300 tys. Niemców. Wynik akcji wysiedleńczej mniej więcej do 1950 r. oraz kolejne spisy (powszechny spis ludności był w 1950 r.) wskazywały, że te dane zostały zaniżone o 25–30 proc. Władzom oczywiście było to na rękę. Niemców zatrudniano w gospodarce i przy odbudowie kraju, ale nie traktowano ich jako mniejszość narodową, lecz jako bezpaństwowców.

B.P. – Obecność Niemców w powojennej Polsce była także problemem dla władz. Jak próbowały ten problem rozwiązać?

P.S. – Zgodnie z układami międzynarodowymi ziemie polskie mieli opuścić wszyscy, którzy zostali uznani za Niemców, czyli około 3,5 mln osób. Już wiosną 1945 r. zaczęto zakładać obozy dla ludności niemieckiej lub dla tych, których uznano za Niemców i próbowano się im zrewanżować za lata okupacji. W obozach internowano między innymi maruderów z niemieckiej armii, aktywistów partyjnych i cywilów, tych ostatnich dlatego tylko, że byli Niemcami; niejednokrotnie trafiała tam również ludność rodzima, którą uważano za politycznie podejrzaną. Internowani pracowali od 10 do 12 godzin dziennie, dostawali bardzo skąpe racje żywności, nierzadko strażnicy znęcali się nad nimi.

B.P. – Czy jeńcy byli traktowani lepiej? Formalnie chroniła ich konwencja genewska.

P.S. – Konwencja genewska określała wprawdzie zasady traktowania jeńców wojennych, ale w kraju zniszczonym wojną nie było możliwości zagwarantowania im wyżywienia, minimalnej płacy, warunków bytowych, sanitarnych – tak jak by to wynikało z odpowiednich przepi-

sów. W obozach dla jeńców również zdarzały się przypadki zabójstw i prześladowań, ale generalnie byli oni traktowani może nie lepiej, ale inaczej niż internowani.

B.P. – Jak wyglądała akcja wysiedleń?

P.S. – Zasady wysiedleń ostatecznie sprecyzowała Sojusznicza Rada Kontroli Niemiec, czyli zwycięskie mocarstwa, realizujące uchwały poczdamskie. 20 listopada 1945 r. ustalono, że z terenów Polski ma być wysiedlonych 3,5 mln Niemców: do radzieckiej strefy okupacyjnej około 2 mln, a reszta do strefy angielskiej. Ustalono też harmonogram wysiedleń i drogi transportowe. Przewidywano możliwość modyfikacji akcji wysiedleńczej ze względu na ograniczone możliwości techniczne powojennej Polski. Wysiedleńcy mogli zabrać około 20 kg bagażu na osobę i żywność na 10 dni. Zdarzały się oczywiście przypadki celowego szykanowania wysiedleńców, którym odbierano resztki wywożonego dobytku, miały miejsce napady na pociągi, na transporty. Dokonywały tego najrozmaitsze grupy przestępcze, w tym również związane z władzą na danym terenie: uzbrojeni ludzie pod szyldem organów bezpieczeństwa zatrzymywali transport pod jakimś pretekstem i rabowali.

B.P. – Wcześniej Niemcy w panice uciekali przed Armią Czerwoną. Jak po wojnie wyglądały ich wzajemne relacje?

P.S. – Najpierw obawiano się frontu; gwałty i rabunki to sprawa jednostek tyłowych Armii Czerwonej. Po zakończeniu działań wojennych i w okresie budowy polskiej administracji na terenie Śląska Niemcy niejednokrotnie uważali Rosjan za obrońców, a Rosjanie wielokrotnie demonstrowali w stosunku do nich przychylność. Przyczyny tego stanu rzeczy można doszukiwać się w sytuacji społecznej, w jakiej znalazły się obie strony. Były przedstawicielami najpierw paktujących, a następnie walczących ze sobą potęg militarnych (to nic, że jedna z nich została pokonana). Odczuwały wrogość i niechęć Polaków, dla których byli to przede wszystkim niedawni okupanci. Ich wzajemne relacje wynikały, jak sądzę, z syndromu mieszkańców „oblężonej twierdzy”.

B.P. – Jak w tym zaraz powojennym okresie wyglądały relacje Niemców z Polakami?

P.S. – Już wspominałem wcześniej, że był to problem humanizmu. W owych czasach we wzajemnych kontaktach rodziły się takie dylematy – czy pokonanemu wrogowi podać kawałek chleba, czy kazać mu się wynosić z mieszkania. Przed takimi wyborami stawali Niemcy w 1939 i 1940 r., a Polacy w 1945 r.





W stosunku do pozostałych w Polsce Niemców przeprowadzano akcje typowo represyjne, wzorowane na takich samych zabiegach, jakie Niemcy stosowali wobec Polaków podczas wojny. Na przykład nakazywano Niemcom noszenie białych opasek na przedramieniu czy oznaczeń w postaci litery N. W poszczególnych gminach ustalano, jak ma to oznaczenie wyglądać, czy to ma być naszywka na marynarce, czy z tyłu, czy tak jak we Wrocławiu – swastyka. We Wrocławiu także próbowano utworzyć getto dla ludności niemieckiej (z takim projektem wystąpił Bolesław Drobner), ale pomysł ten nie uzyskał akceptacji.

Z drugiej strony próbowano – z różnym skutkiem – chronić Niemców przed nadmiernymi represjami. Z tą myślą powstawały obozy internowania, ale wiele z nich cieszyło się złą sławą (obozy w Łambinowicach, w Potulicach koło Bydgoszczy czy w Sikawie koło Łodzi), w niektórych dochodziło do zabójstw.

W stosunku do Niemców władza była nastawiona represyjnie, widać to choćby w dekreście z 6 marca 1946 r. o majątkach opuszczonych i poniemieckich, sankcjonującym zabór mienia. Do jego przepisów dodano jeszcze stosowne rozporządzenia ministrów obrony narodowej, administracji, bezpieczeństwa publicznego, skarbu, oświaty.

B.P. – Kogo powojenne władze polskie uznawały za Niemców?

P.S. – Rodowitych Niemców, tak zwanych Niemców uznanych – to była pierwsza grupa. Władze stanęły przed trudnym problemem, bo z jednej strony chciano ich jak najprędzej wysiedlić, z drugiej zaś sądzono, że mogą być w Polsce w przydatni, więc próbowano ich pozostawić jako fachowców w przemyśle węglowym, metalurgicznym, energetycznym, zatem tam, gdzie istniał deficyt rąk do pracy. Ci uznani Niemcy nie mieli obywatelstwa polskiego, ale nawet gdyby im je zaproponowano, nie chcieliby go przyjąć. Bardziej zależało im na tym, żeby tereny polskie jak najszybciej opuścić. Do tej grupy zaliczano również działaczy Komunistycznej Partii Niemiec (KPD), którzy przeżyli czystkę hitlerowską i radziecką. Polskie władze uważały, że ich miejsce jest w radzieckiej strefie okupacyjnej.

Druąa grupa to folksdojczce, których trzeba było zweryfikować. Nie była to tylko mechaniczna weryfikacja list, lecz przede weryfikacja wszystkim postaw w czasie wojny. Dekretem z 13 września 1946 r. pozbawiono obywatelstwa polskiego tych, którzy w czasie wojny deklarowali narodowość niemiecką; ludzie ci podlegali przymusowemu wysiedleniu, a ich majątek konfiskacie. Podczas weryfikacji osób, które przyjęły volkslistę, niejednokrotnie krzywdzono ludność autochtoniczną, utożsamiając ją z Niemcami. Ktoś stawał się podejrzany ze względu na nazwisko, wyznanie (szczególnie na Warmii i Mazurach, gdzie przeważali protestanci) czy język. Na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska ci, którzy przed wojną deklarowali przynależność do Polonii gdańskiej, posługiwali się swobodnie obydwoąa językami, podobnie było na Ślą-

Deutsche Volksliste (DVL)

Pierwowzorem niemieckiej listy narodowościowej był urząd o nazwie Deutsche Volksliste, powołany 28 października 1939 r. przez Artura Greisera w tak zwanym Kraju Warty. W intencji twórcy DVL miała służyć weryfikacji ludności niemieckiej zamieszkującej te tereny przed 1 września 1939 r. Osoby zakwalifikowane do wpisania na DVL podzielono na pięć grup. Pomysł ten upadł w związku z *Zarządzeniem o niemieckiej liście narodowościowej i niemieckim obywatelstwie na wschodnich ziemiach wcielonych do Rzeszy* wydanym 4 marca 1941 r. przez ministra spraw wewnętrznych Wilhelma Fricka, Rudolfa Hessa – zastępcy Hitlera i Heinricha Himmlera – naczelnego dowódcy SS i komisarza Rzeszy ds. umacniania niemczyzny. Dotyczyło ono obszarów wcielonych do Rzeszy: Górnego Śląska, części województwa krakowskiego, Wielkopolski, części województwa łódzkiego, Pomorza i Wolnego Miasta Gdańska oraz części Mazowsza.

Zarządzenie i dołączone do niego przepisy wykonawcze wprowadzały cztery grupy: do I zaliczano Niemców, którzy aktywnie uczestniczyli w działalności organizacji niemieckich w Polsce i posyłali swe dzieci do niemieckich szkół, demonstrując w ten sposób swą przynależność do narodu niemieckiego. Do grupy II zaliczono tych Niemców, którzy wprawdzie nie wykazywali się aktywnością w niemieckich organizacjach, ale zachowali swą niemieckość. W III grupie znalazły się osoby, które wprawdzie miały niemieckie pochodzenie, ale uległy polonizacji; osoby, których współmałżonek był Niemcem, a także osoby o innej przynależności narodowej, skłaniające się jednak ku niemczyźnie, jak Ślązacy, Kaszubi, Mazurzy. Do grupy IV zaliczano tych, którzy będąc pochodzenia niemieckiego, ulegli całkowitej polonizacji i przed wojną działali w polskich organizacjach, a nawet odnosili się wrogo do niemczyzny.

Teoretycznie pierwsze dwie grupy miały być traktowane jednakowo. Zaliczone do nich osoby miały takie same (niebieskie) paszporty, choć w myśl późniejszych zarządzeń członkami partii mogli być tylko folksdojczje I grupy. Dla osób z III grupy przewidziano dowody zielone, będące raczej stwierdzeniem, że dana osoba nie przynależy do narodu polskiego. IV grupa otrzymywała czerwone dowody osobiste. Pełną przynależność państwową, a tym samym pełnię praw, mogli otrzymać tylko Niemcy wpisani do dwóch pierwszych grup. Ciężyły na nich także obowiązki obywatelskie, na przykład: obowiązek służby wojskowej, wychowania dzieci w duchu niemieckim i uczestnictwa w niemieckich organizacjach. Wpisani do grupy III mogli otrzymać obywatelstwo wyłącznie w drodze indywidualnego nadania, i to na 10 lat. W tym czasie mogło ono zostać odwołane. Nie mogli być członkami NSDAP, zajmować stanowisk kierowniczych, piastować urzędów honorowych, a nawet studiować, wykonywać niektórych zawodów i swobodnie zawierać małżeństw. Mimo tych ograniczeń ciężyły na nich obowiązki podobne do obowiązków pełnoprawnych obywateli, zwłaszcza służba wojskowa. Grupa IV, tak zwani renegeci, nie mogła w zasadzie przebywać na ziemiach wcielonych, powinni oni bowiem przesiedlić się w głąb Rzeszy. Mogli otrzymać obywatelstwo tylko w drodze indywidualnego nadania, i to warunkowo. Ich majątek ulegał konfiskacie, nie mogli sami zmieniać miejsca zamieszkania, zawierać związków małżeńskich, studiować, należeć do partii itp.

Wpisywanie na listę przebiegało różnie w zależności od terenu. Na Górnym Śląsku i Pomorzu Gdańskim stosowano przymus wpisu, podczas gdy w tak zwanym Kraju Warty wciągano na listę bardzo ostrożnie. Ogółem na Górnym Śląsku i w rejencji opolskiej wpisano 1050 tys. osób, w okręgu Gdańsk – Prusy Zachodnie – 727 tys., a w Kraju Warty – 499 500 osób. Ponadto na terenie Generalnego Gubernatorstwa na volkslistę wpisano 113 tys. osób.



sku, ale twarda wymowa i inny akcent powodowały, że władze traktowały ich jako podejrzanych. Dla wielu negatywna decyzja weryfikacyjna oznaczała degradację społeczną i obywatelską. Nie wiedzieli, jak postąpić, czy zadeklarować wyjazd do Niemiec, czy pozostać i narażać się na cały ciąg dalszych szykan i represji.

Trzecią grupę tworzyli autochtoni. W stosunku do tej grupy ludności postawa władz była niezdecydowana. Z jednej strony mówiło się o odwiecznym ucisku germańskim na odwiecznych ziemiach polskich, a z drugiej prowadzono na siłę akcję repolonizacji.

B.P. – Jakie to były metody – likwidacja języka niemieckiego w szkolnictwie, odbieranie protestantom świątyń?

P.S. – W latach czterdziestych na dużą skalę prowadzono proces niszczenia wszystkiego, co niemieckie, począwszy od księzek, cmentarzy, napisów. *Mein Kampf* i wiersze Goethego były traktowane tak samo. Nawet w latach sześćdziesiątych cenzura dbała, by nie pojawiały się żadne informacje o niszczeniu ponemieckich cmentarzy.

B.P. – Czy Niemcy byli członkami PZPR i aparatu urzędniczego – na przykład w zakładach pracy?

P.S. – W pierwszych latach po wojnie wśród Niemców panował nastrój wyczekiwania. Istniało państwo polskie, oni zaś nie byli jego obywatelami. W jakimś sensie byli traktowani tak, jakby ich nie było – taki był przecież status bezpaństwowców.

Do partii zaczęto przyjmować Niemców dopiero od 1952 r. Wcześniej postawa władz była ambiwalentna: z jednej strony członków KPD chętnie by się pozbyto, z drugiej – prawdziwych komunistów charakteryzował jednak internacjonalizm. W tym roku zmieniła się też polityka wobec tych, którzy pozostali: zaczęto im przydzielać mieszkania, miejsca w przedszkolach i żłobkach, powierzać stanowiska nadzorcze w pracy, co prawda niższego szczebla. Do tej pory obowiązywał zakaz zajmowania przez Niemców kierowniczych stanowisk, Niemcy nie mogli uczestniczyć i kandydować w wyborach do rad zakładowych, ich praca miała przeważnie charakter akordowy, z poborów potrącano im czwartą część na odbudowę kraju, mieli również ograniczone prawa socjalne, emerytalne itd.

B.P. – Jakie istotne zmiany w stosunku władz PRL do Niemców przyniósł rok 1952?

P.S. – Sprawa stosunku do Niemców nie da się oddzielić od powojennej polityki międzynarodowej, od podziału Niemiec na strefy okupacyjne. W polskiej prasie, która w tamtym okresie była odzwierciedleniem linii politycznej państwa, widać pewne wyraźne tendencje. Na przykład każdą

próbę odbudowy przemysłu w zachodnich strefach okupacyjnych przedstawiano jako usiłowanie odtworzenia „wielogłowej hydry niemieckiej”, „militaryzmu pruskiego” itd. Utworzenie Niemieckiej Republiki Federalnej zostało natychmiast okrzyknięte jako próba odtworzenia junkierstwa, odbudowa Rzeszy i jej armii. Kolejną kwestią był podział Niemiec na dwa państwa. Nie można było lansować tej samej linii politycznej w stosunku do Niemiec, z których jedne miały być wrogiem, a drugie zaś – sojusznikiem. Układ zgorzelecki rozpoczął normalizację stosunków między Niemcami („lepszymi”) i Polską. Negocjacje dotyczące akcji łączenia rodzin między NRD a Polską, które rozpoczęły się 21 stycznia 1950 r., nie mogły pomijać problemu ludności niemieckiej.

Do Niemiec Wschodnich mieli wyjechać przede wszystkim ci, którzy zadeklarowali swoją niemieckość, mieli tam rodziny, rozbite na skutek działań wojennych. W rezultacie tej pierwszej akcji łączenia rodzin, czyli mniej więcej do 1955 r., do NRD skierowano w sumie 41 transportów, którymi wyjechało około 100 tys. Niemców. Według oficjalnych danych z 1955 r. w PRL mieszkało około 160 tys. Niemców, którzy posiadali obywatelstwo polskie, i około 11 tys. tych, którzy posiadali obywatelstwo niemieckie.

B.P. – Nie było już bezpaństwowców?

P.S. – Ta kwestia przestała istnieć po przyjęciu konstytucji PRL w 1952 r. Trzeba pamiętać, że pierwsze lata powojenne to akcja wysiedleń ludności niemieckiej, akcja weryfikacji folksdojczów. Prowadzona na siłę działalność polonizacyjna (próbowano na przykład przedstawiać dzieci na mówienie literackim językiem polskim, a nie gwarą) skutkowałą pożądanymi przez władzę reakcjami ludności, ale zadecydowała również o niejednoznaczności postaw na tak zwanych gorących terenach – Warmii, Mazurach, Śląsku Opolskim.

B.P. – Czy Niemcy będący obywatelami polskimi podlegali obowiązkowi służby w wojsku?

P.S. – Tak. Znamy takie enuncjacje prasowe, że Niemców powołuje się do wojska polskiego. Konsekwencją utworzenia dwóch państw niemieckich było utworzenie dwóch armii. Informacje o jej powołaniu w Niemczech Zachodnich nazywano remilitaryzacją, odbudową Wehrmachtu, a przecież bardzo starano się usunąć wszystkie symbole i pozostałości związane z Trzecią Rzeszą. Odmienne umundurowanie to tylko przykład. W NRD natomiast cała symbolika przedwojennej armii niemieckiej, odpowiednio tylko spreparowana, pozostała. Prasa jednak przedstawiała to tak, jakby było odwrotnie.

B.P. – Czy w tym czasie wychodziła jakaś niemieckojęzyczna gazeta, czy były niemieckie szkoły?



P.S. – Były gazety codzienne, potem utworzono tygodnik „Die Woche in Polen”, zaczęto też tworzyć szkoły, w których uczono po niemiecku. Pierwsze podręczniki szkolne były starymi podręcznikami z okresu Trzeciej Rzeszy, odpowiednio ocenzone. Później wykorzystywano podręczniki enerdowskie. A polski stanowił dla tych dzieci nadal język obcy, zresztą te lekcje były bardzo upolitycznione.

B.P. – Znam relacje moich rówieśników ze Śląska, którzy tak jak i ich rodzice marzyli o wyjeździe do Niemiec. Propaganda tego okresu była tak agresywna i głupia, że oni po prostu nie wierzyli w to, czego uczono ich w szkole o drugiej wojnie światowej, o Hitlerze. Byli absolutnie przekonani, że to są takie same kłamstwa jak wszystkie inne, które wciąż tu słyszeli.

P.S. – Dzieci uczyły się w szkole o wojnie, bandytyzmie, morderstwach, obozach koncentracyjnych, a potem wracały do domu i widziały, że ich rodzice są szykanowani, dostają niższą płacę. Oprócz prób oznakowania Niemców pojawiały się też takie pomysły, żeby golić im głowy, często padały pod ich adresem wyzwiska: ty świnio, ty Szwabie, ty Hitlerze. Jednym z kolejnych pomysłów szykanowania Niemców i tych, którzy mieli w Niemczech Zachodnich rodziny, było podniesienie taryf celnych za otrzymywane z Niemiec paczki. To wszystko przenosiło się na dzieci.

B.P. – Pamiętam nagłaśnianie przez prasę faktów odprawiania w niektórych świątyniach mszy w języku niemieckim.

P.S. – Dla władz była to dość drażliwa sprawa. Duchowieństwo szykanowano za to, że odprawia msze w języku niemieckim. Tam, gdzie był spory odsetek ludności niemieckiej, część duchowieństwa odprawiała msze w języku niemieckim, ale na fali narastającej walki z Kościołem w ogóle bardzo utrudniano praktyki religijne. A tu dodatkowo kryterium narodowościowe przenoszono na wyznanie: kto nie był katolikiem, ten automatycznie nie był Polakiem. Zdarzało się, że w trybie alarmującym donoszono władzom, że odprawia się nabożeństwo w języku niemieckim, a władza traktowała to jako dowód regermanizacji lub podtrzymywania ducha niemieckiego.

B.P. – Czy koniec stalinizmu spowodował jakieś zmiany w oficjalnej polityce wobec Niemców i czy obserwowano się przełom w stosunkach między ludźmi w lokalnych społecznościach?

P.S. – Odwilż w stosunkach politycznych w kraju rzeczywiście przyniosła pewne zmiany. Od 1954 r. obowiązywało zalecenie dla władz lokalnych, żeby namawiać do wyjazdu do NRD, gdyby ktoś deklarował wyjazd do Niemiec. Polityka narodowościowa w stosunku do niemieckojęzycznych obywateli istotnie zmieniła się po 1956 r. W kwietniu



Wysiedlenie Niemców z Dolnego Śląska

1957 r. sekretariat Komitetu Centralnego PZPR wystosował list do podległych sobie partyjnych placówek terenowych o prawie do zachowania i pielęgnowania tożsamości. W dalszym ciągu jednak obowiązywały stare hasła i obowiązek usuwania przejawów nacjonalizmu – „macie więc prawo do pielęgnowania tradycji i tożsamości, ale uważajcie, bo to może być kojarzone z nacjonalizmem”. Z jednej strony pojawiły się hasła o równouprawnieniu i walce z nietolerancją, a z drugiej, jeśli ktoś oficjalnie używał swego języka rodzimego, budził podejrzania. Charakterystycznym przykładem głęboko zakorzenionych stereotypów narodowościowych jest grób Michała Kajki (polskiego patriotę związanego z ziemią mazurską). W 1959 r. został zbezczeszczone napisami „Szwab”, a w 1970 r. na pomniku namalowano swastyki. A które dziecko chciało być Niemcem w czasie podwórkowych zabaw w wojnę?

B.P. – „Solidarność” upomniała się o prawa dla mniejszości narodowych. Nastąpił pewien renesans stowarzyszeń narodowościowych, potem partii narodowościowych, związków wyznaniowych itd. Przedstawiciele mniejszości zaczęli wtedy aktywniej działać, może nie do końca motywowani antykomunizmem, ale dlatego, że mieli możliwość załatwienia różnych spraw dla swoich rodaków.

P.S. – To się zaczęło jeszcze przed „Solidarnością”. Od dłuższego czasu działało Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców. Starania o jego powołanie rozpoczęły się w 1956 r., po październiku statut Towarzystwa opracował Komitet Miejski PZPR w Wałbrzychu (gdzie Niemców było stosunkowo bardzo dużo). Wychodziły gazety: „Aufbau” i „Arbeiterstimme”. Towarzystwo od początku zajmowało się sprawą wyjazdów do Niemiec, do rodziny czy do pracy. Za pośrednictwem Towarzystwa zaczęły masowo spływać wnioski o umożliwienie wyjazdu.



Władze lokalne nie umiały nad tym zapanować i dlatego dokładnie kontrolowały działalność Towarzystwa. Władzom zależało na budowaniu pozytywnego wizerunku NRD. Należało mówić o współpracy, dobrych Niemcach, partnerstwie od dawien dawna itd. Towarzystwo prowadziło działalność kulturalną, powstawały zespoły amatorskie, ale nie miało ono na przykład prawa do użytkowania lokalu, szykanowano jego członków, zdarzały się pobicia i aresztowania. Mimo prowadzonej przez władze kontroli, politycznej kurateli i prób ograniczenia wyjazdów ani władze, ani Towarzystwo nie były w stanie nad tym zapanować. Z biegiem czasu działalność organizacji ograniczyła się wyłącznie do roli biura turystycznego z biletem w jedną stronę.

W latach osiemdziesiątych powoływano do życia – jeszcze bez rejestracji sądowej – Niemieckie Koła Przyjaźni, a w ślad za nimi zaczęły powstawać nowe organizacje, które powołały 12 września 1990 r. Radę Naczelną Stowarzyszeń Niemieckich w Rzeczypospolitej Polskiej.

B.P. – Dlaczego tak utrudniano Niemcom wyjazdy? Czy chodziło tylko o propagandowy wizerunek PRL, z której nikt nie chce wyjeżdżać, bo jest w niej tak dobrze? Czy może Niemcy byli Polsce jakoś potrzebni?

P.S. – Chodziło o ochronę wizerunku PRL-owskiego raj. Dla propagandy było niedopuszczalne, żeby ktoś chciał wyjeżdżać z Polski, która wygrała wojnę, do Niemiec, które ją przegrały, dlatego starano się skłaniać Niemców do wyjazdów z Polski do NRD, a nie do RFN.

B.P. – Czy mieszkających w Polsce Niemców angażował niemiecki wywiad, na przykład Stasi?

P.S. – Na pewno takie działania istniały. W prasie polskiej w latach sześćdziesiątych często pojawiały się enuncjacje o aktywności zachodniemieckiego wywiadu w Polsce, o ziomkostwach, o próbach odrywania ziem zachodnich, Śląska, poróżnienia ludności. I to nie była tylko propaganda, bo jednak Niemcy Zachodnie i Polska należały do dwóch różnych bloków militarnych. I jedna, i druga strona prowadziła działania wywiadowcze, w dodatku ślady wojny były wciąż bardzo świeże. Podgrzewanie atmosfery w społeczeństwie, lansowanie tezy o zagrożeniu niemieckim wynikały z konieczności odwrócenia uwagi ludzi od innych problemów, choćby ekonomicznych.

B.P. – I właśnie w tym czasie z okazji rozpoczęcia obchodów Milenium biskupi polscy apelują do biskupów niemieckich z prośbą o wzajemne wybaczenie.

P.S. – Rocznica obchodzonego uroczystości tysiąclecia państwa polskiego zbiegła się z kolejnym zaostrzeniem się stosunków państwo-Kościół, o czym nie należy zapominać. I w tym czasie biskupi polscy

czynią pojednawczy gest wobec pasterzy Kościoła katolickiego w Niemczech. Posłużę się cytatem: „W tym, jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu, wyciągamy do was, siedzących tu na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce, którymi udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”. Zbiegły się dwa wydarzenia: Drugi Sobór Watykański i przygotowania do obchodów tysiąclecia państwa polskiego. To nie przypadek, że wybrano ten właśnie moment. Mimo licznych prób nie udało się odciąć chrześcijańskich korzeni w historii państwa polskiego. Opublikowanie tego listu wywołało prawdziwy atak wściekłości władz partyjno-państwowych. Rozpętała się nagonka o charakterze antykościelnym i partyjno-narodowym: w czym imieniu biskupi ośmielają się wyciągać ręce i przepraszać? I kogo przepraszać – wroga? I o co proszą – o wybaczenie?

B.P. – Myślę, że komuniści po prostu nigdy nie rozumieli słowa: przepraszam czy wybaczam.

P.S. – Autorzy tego listu mieli pełną pamięć i wojny, i powojennych akcji wysiedleńczych. List jest datowany 18 listopada 1965 r., a już 10 grudnia 1965 r. opublikowany został artykuł, którego autorstwo przypisuje się Zenonowi Kliszce, zatytułowany *W czym imieniu?*. Autor zaatakował Episkopat za sam pomysł wyrażania skruchy, zarzucił bezprawie w posługiwaniu się przeprosinami w imieniu narodu polskiego: „w naszej ludowej ojczyźnie sobiepaństwa nie ma i nie będzie”. Zgodnie z tezą artykułu polityka partii i polityka Kościoła wobec Niemiec miały być takie same. Oprócz oficjalnych nagonek zastosowano wobec Kościoła szereg najrozmaitszych szykan, mniej lub bardziej jawnych.

Rozpoczynają się obchody Milenium, które obydwie strony, władze państwowe i Kościół, świętują oddzielnie. 14 kwietnia 1966 r. w Gnieźnie odbywa się wielka uroczystość o charakterze religijnym, zorganizowana przez Episkopat, w rocznicę przyjęcia przez Polskę chrztu. W tym samym czasie, 16 kwietnia 1966 r., odbywa się, z udziałem Mariana Spychalskiego, ówczesnego ministra obrony narodowej, dosyć ciekawie uzasadniana impreza obchodów 21. rocznicy sforsowania Odry i Nysy Łużyckiej.

Przełomem w stosunkach między tymi „złymi” Niemcami a Polską był rok 1970. Wizyta Willy’ego Brandta w Warszawie i zawarcie układu o normalizacji stosunków między Polską a RFN były jednym z największych sukcesów Władysława Gomułki, chociaż spadkobiercą tego układu stał się jego następcą, Edward Gierek. W zamian za kredyty Gierek pozwolił na kontynuowanie akcji łączenia rodzin.

B.P. – Kto jej podlegał?

P.S. – Wyjeżdżali nie tylko ci, którzy się czuli Niemcami, lecz również ci, którzy podczas wojny byli prześladowani za to, że byli Polakami.





Jeszcze w latach pięćdziesiątych do Niemiec wyjechała rodzina jednego z obrońców Poczty Gdańskiej, który został rozstrzelany 5 października 1939 r. na Zaspie. Wdowa po nim i dzieci wyjechały, przyjęły niemieckie obywatelstwo. To jest charakterystyczny los ludzi z „gorących terenów”. Przed wojną byli prześladowani za polskość, w czasie wojny tępieni za polskość, po wojnie podejrzani, ponieważ mówili nieco inaczej, odmiennie niż przybysze z różnych stron Polski. Wyjeżdżali też ludzie, którzy wojnę przesiedzieli w niemieckich obozach koncentracyjnych. Motywy wyjazdów były różne, nie tylko ekonomiczne.

B.P. – Pan jest stąd, z Gdańska, czy był pan świadkiem takiej sytuacji, że o kimś mówi się z pogardą, nienawiścią, niedowierzaniem, że jest Niemcem?

P.S. – Nie są mi znane takie przypadki, nie zetknąłem się z nimi. W moim pokoleniu nawet jeżeli o kimś wiedziasto się, że jest Niemcem, a raczej Niemcem z pochodzenia, to nie budziło żadnych emocji i kompleksów. Wiadomo, że po boomie gospodarczym Gierka, po otwarciu na świat, po odreagowywaniu siermiężnego Gomułki, akcji wyjazdów ekonomicznych, końcówka lat siedemdziesiątych przyniosła postępujący kryzys gospodarczy. Kto mógł wykorzystywał wszystkie możliwości kontaktów zagranicznych. Nadchodzące z Niemiec Zachodnich paczki pogłębiały nie po raz pierwszy powszechną świadomość, że u tych, którzy przegrali wojnę, jest lepiej.

B.P. – Czy tu, na Pomorzu, istnieją obawy przed powrotem Niemców do mieszkań i gospodarstw, czy to w ogóle jest jakiś problem?

P.S. – Owszem, pojawiają się obawy przed wykupywaniem. To jest pewien problem ekonomiczny. Jeśli chodzi o Niemców starszego pokolenia, z pewnością z powodów sentymentalnych niektórzy z nich chcieliby powrócić. Natomiast młodzi żyją innymi sprawami, choć oczywiście również przyjeżdżają obejrzeć Heimat. Myślą innymi kategoriami, bardziej praktycznie. Taka tendencja charakteryzuje w ogóle dzisiejsze czasy – pielęgnowanie korzeni i racje sentymentalne to jedno, a życie w dobrze funkcjonującym i dobrze zorganizowanym świecie to drugie.



Piotr Semków – dr nauk humanistycznych (historia). Specjalizuje się w historii politycznej XX wieku (Pomorze Gdańskie). Autor „Polityki Trzeciej Rzeszy wobec ludności polskiej na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska w latach 1939–1945”. Pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku.